

Agata Bielik-Robson

Nie chcę być profesorem w Bazylei

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (121-122), 19-23

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Agata BIELIK-ROBSON

Nie chcę być profesorem w Bazylei

W epokowym dziele *Die Legitimität der Neuzeit*, czyli *Prawomocność ery nowocześniejszej*, Hans Blumenberg opisuje późnośredniowieczny proces, za sprawą którego filozofia, dotąd królowa nauk i najbliższa służka teologii, powoli wypada z roli prawodawczej i obniża status, stając się częścią *artes liberales*, czyli sztuk wyzwolonych. Od samego początku zatem wyzwolenie myśli filozoficznej wiąże się ze spadkiem w akademickiej hierarchii, a narodziny humanistyki – jeśli spojrzeć na nie z czysto uniwersyteckiej perspektywy – otacza aura infamii, czegoś nie do końca godnego.

Jestem przekonana, że ta zasada, łącząca wolność z degradacją, a przynajmniej z niepewnością statusu, obowiązuje do dziś. Swobodna myśl i akademicki establishment po prostu nie idą ze sobą w parze. Czerpiąca z feudalnych wzorców władzy kariera profesorska i humanistyczny talent, nieustannie wobec władzy podejrzliwy, rozchodziły się od zawsze, ale ostatnio znalazły się w otwartym konflikcie. Weźmy choćby Stany Zjednoczone z ich niesamowicie rozkręconym przemysłem akademickim, z całą tą Ivy League niezmiennie górującą na wszelkich listach „naukometrycznych”; nie da się ukryć, że amerykańska humanistyka to w dużej mierze rynek wtórny, poddający nieustannemu recyklingowi idee, które narodziły się gdzie indziej, czyli w Europie. Dekonstrukcja, ostatni wielki towar eksportowy Francji, w warunkach europejskich była myślą stosunkowo żywą; Derrida, uniwersyteckie *enfant terrible*, nigdy nieprzyjęte do Akademii Francuskiej (która ostatnio wzięła w swe szeregi Jean-Luc Marion, tego straszliwego fenomenologicznego nudziarza), narobił mnóstwo ożywczego zamieszania, otwierając skostniały idiom filozofii na literaturę, religię i politykę. W Ameryce zaś dekonstrukcja niemal natychmiast zamarła, przybierając formę nieznośnej manieri kampusowej: izolowanej, snobistycznej, bez jakiegokolwiek otwarcia na otaczający świat. Smut-

Wyznania

nym dowodem tej śmierci okazała się konferencja poświęcona dziedzictwu Derridy, jaką zorganizował w czerwcu zeszłego roku w Krakowie Michał Paweł Marowski, głównie z udziałem gości amerykańskich; słuchanie referatu Peggy Kamuf, naczelnego tłumaczki Derridy na angielski, było doświadczeniem równie bolesnym, co słuchanie referatu Jacka Juliusza Jadackiego o „wiecznie żywych” osiągnięciach Szkoły Lwowsko-Warszawskiej. Ten sam „styl referatowy”, o jakim ze słusznym przekąsem wyrażał się już Stanisław Brzozowski: styl zdolny zamordować wszystko.

Losy dekonstrukcji to tylko jeden z przykładów tendencji, która nie zmienia się od lat, a może nawet stuleci: najpierwsze gwiazdy myśli humanistycznej nigdy nie wyłaniają się z łona akademii, choć ta z ich istnienia właśnie czerpie swoje pasożytnicze uzasadnienie. Marks, Nietzsche, Freud – by wymienić choćby tych trzech „mistrzów podejrzania”, którzy wspólnie złożyli się na powstanie nowoczesnego idiomu krytycznego – nie zagrzali miejsca w żadnej niszy akademickiej, nawet jeśli, jak to miało miejsce u Nietzschego, bardzo zabiegali o jej uznanie. „Chciałem zostać profesorem w Bazylei, a tak, niestety, zostałem Bogiem”, napisał kiedyś Nietzsche w liście do przyjaciela, słusznie diagnozując, bez względu na intencje, absolutnie niemożliwą koincydencję profesorstwa i boskości. Koincydencję nieubłaganego akademickiego konformizmu i boskiej niezależności myślenia.

Martin Heidegger, cokolwiek by o nim sądzić jako myślicielu, też wolał większą chatę od Fryburga i to jeszcze zanim komisja denazyfikacyjna odsunęła go od nauczania. Szkoła Frankfurcka, ten wspaniały fajerwerk intelektualny, o którym akademicka młodzież na całej planecie pisze dziś miliony magisterek i doktoratów, wybuchł całkowicie poza murami uniwersytetu. Walterowi Benjaminowi skonfundowani niemieccy filolodzy odmówili habilitacji, twierdząc, że nie rozumieją ani słowa z jego pracy o żalobnym dramacie barokowym. A Teodor Adorno w powrocie na uniwersytet odnalazł tylko swoją śmierć; zginął w pamiętnym roku 68 od zawału serca, który wywołał tabun napierających nań zrewoltowanych studentek o obnażonych piersiach w ramach niesławnej *Busenaktion*. Franz Rosenzweig, odnowiciel dwudziestowiecznej filozofii religii, napisał *Gwiazdę zbawienia* dopiero po rezygnacji z kariery akademickiej i po objęciu skromnego stanowiska nauczycielskiego w Frankfurter Jüdischer Lehrhaus. Ludwig Wittgenstein najlepszą swoją rzecz – *Traktat logiczno-filozoficzny* – stworzył na froncie pierwszej wojny światowej, później zaś, kiedy trafił do Cambridge pod kuratelę Bertranda Russella, było już tylko gorzej i gorzej; z *Dociekań filozoficznych*, które stanowią fundament akademickiej szkoły analitycznej, została tak po prawdzie tylko garstka banałów. Hannah Arendt, bardzo luźno związana z nowojorską New School (niewiele zresztą mającą w owych czasach wspólnego z uniwersytetem), przez całe życie udzielała się *extra muros* jako publiczna intelektualistka. Podobnie Lionell Trilling, czołowy *New York Intellectual*, a po nim jego uczeń, ostatni z wielkich nie-akademików, Harold Bloom.

Oczywiście, istnieją też wyjątki od tej reguły – ale czy istotnie są one wyjątkami? Czy Edmund Husserl, ten profesor paradygmatyczny (jakby się wyraził Wittgen-

stein), zadaje kłam naszej tezie jako jednocześnie założyciel fenomenologii? Wręcz przeciwnie: wielkość myśli fenomenologicznej to zdecydowanie przesadzona plotka, rozpowszechniana głównie przez niemieckich akademików. A Hans-Georg Gadamer i hermeneutyka? Odpowiedź – jak powyżej.

Ten protokół rozbieżności – między interesem intelektualnym a interesem akademickim – jest na trwałe wpisany w paradoks *artes liberales*, do których należy nowożytna myśl humanistyczna. Paradoks – ponieważ sztuki wyzwolone mimo wszystko stanowią część uniwersytetu i są nauczane przez wyspecjalizowaną kadrę. Uważam jednak, że paradoks ten, jeśli uczynić go w pełni przejrzystym, może pomóc humanistyce odzyskać jej utraconą samowiedzę, a owej wyspecjalizowanej, choć zdezorientowanej, kadrze trochę poprawić samopoczucie. Ostatnio bowiem coraz silniej daje się jej do zrozumienia, że znalazła się ona w „naukometrycznej” ariergardzie: jej publikacje nie przynoszą zbyt wielu punktów w ogólnej klasyfikacji polskiej nauki, a jej projekty badawcze nie ściągają wielkich europejskich grantów. Z perspektywy czysto akademickiej humanistyka okazuje się kulą u nogi albo niewygodnym meblem, z którym nie wiadomo, co począć: czy ustawić go w kątku wielkiej jasnej sali, w której królują nauki społeczne, czy też przesuwać do ciemnego magazynu, gdzie może nadać się tylko jako rekwizyt w kształceniu kadry nauczycielskiej.

Paradoks częściowej „nieakademickości” humanistyki można więc wykorzystać przeciw humanistyce (co nieustannie czynią przedstawiciele czystego przemysłu akademickiego), ale też na jej korzyść. Wystarczy tylko uparcie pielęgnować to o t w a r c i e, jakie zapewnia niejasny status humanistycznych *artes liberales*, rozpiętych między nauką a sztuką, metodą a szaleństwem, bibliotecznym „klozetem” a publiczną agorą; o t w a r c i e, które nadaje im specyficzną wartość, zupełnie niemierzalną zasadami nieszczęsnej „naukometrii”. Paradoks humanistyki można więc rozwiązać albo w ten sposób, że – jak się to stało na uniwersytetach amerykańskich – upodobni się ona do innych dyscyplin akademickich i zaangażuje się w pełni w ich kampusową grę o punkty, albo w ten sposób, że właśnie podkreśli swoją paradoksalność jako zaletę, świadomie odmawiając uczestnictwa w „naukometrycznym” absurdzie.

Świetnej ilustracji tego problemu dostarcza konflikt, który od roku toczy środowisko Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, do jakiego należy. Sam prezes PAN, prof. Michał Kleiber, uważa ten konflikt za „testowy”: kwestionując *status quo*, zgodnie z którym filozofowie i socjologowie funkcjonują od lat w ramach jednej instytucji, konflikt ten ma pokazać, czy polskie środowiska uczonych zdolne są do samookreślenia i samoustanowienia; czy – innymi słowy – wiemy, o co nam chodzi i jakie są nasze badawcze cele. Jak na razie test ten przyniósł tylko jeden rezultat: socjologowie, zdominowani przez grupę tak zwanych „ilościowców”, wypisali się z jakiegokolwiek wspólnoty intelektualnej z filozofami, którzy w ogromnej większości uznali się jednak za „humanistów”. Instytut, nadal oficjalnie funkcjonujący jako jedność, rozpadł się *de facto* na dwie części, czego ofiarą pada Szkoła Nauk Społecznych, interdyscyplinarne studium doktoranckie

Wyznania

założone kilkanaście lat temu przez Stefana Amsterdamskiego na wzór nowojorskiej The New School for Social Research. Szkoła ta, której sam Stefan Amsterdamski nadał miano „kuźni elit”, działała od początku zgodnie z paradoksem nowoczesnej humanistyki jako jednocześnie akademickiej i nieakademickiej, zamkniętej i otwartej: szkoliła doktorantów łączących zaangażowanie poznawcze i publiczne. Wykształciła więc feministki od Marii Janion i młodych konserwatystów od Marcina Króla; ogromną rzeszę pracowników polskich NGO-sów, z Fundacją Batorego na czele, i sporą część redakcji „Krytyki Politycznej”. Jednocześnie jednak w raporcie na temat stanu Szkoły, jaki sporządziła grupa socjologów z IFIS, możemy przeczytać, że „idea Szkoły jako kuźni elit nie sprawdziła się”, ponieważ wyniki absolwentów wypadają źle pod kątem statystyk „naukometrycznych”. Zaleca się więc daleko idące zmiany, zmierzające w stronę „unaukowienia” Szkoły, oczywiście kosztem jej humanistycznego, nieakademickiego awanturnictwa. Na nic zdają się perswazyje, że jednak pomysł Amsterdamskiego odniósł sukces i Szkole udało się wielka rzecz, jaką jest transfer akademicko wykształconej młodzieży do życia publicznego. W końcu dzięki temu transferowi właśnie, obok „ekspertów” przyklepujących grzecznie „efekty transformacji”, pojawiły się także e l i t y k r y t y c z n e, zdolne do mniej służalczego namysłu nad rzeczywistością. Zwolennicy opcji „zamkniętej”, w której akademia żyje swoim własnym izolowanym życiem kampusowym, pozostają nieugięci: lepsze statystyki „neukometryczne” przekładają się bowiem automatycznie na lepsze perspektywy dofinansowania.

Humanisci muszą się więc bronić – ale obrona ta udać się może tylko pod warunkiem, że dobrze zrozumieją i zaakceptują swój paradoksalny status, obracając go na swoją korzyść. Pod wpływem „testowego” konfliktu, jaki zafundowała mi dyrekcja PAN-u, sama staję teraz przed wyborem, równie „testowym” dla całego mojego środowiska. Albo stanę się profesorem w jednostce badawczej, w pełni podłączonej do akademickiego systemu żyjącego z grantów, które różne instytucje rozdzielcze przyznają na ściśle konformistycznych zasadach – albo świadomie podkreślę swoją nieakademicką różnicę, zdefiniuję swoją działalność uniwersytecką przede wszystkim jako aktywność dydaktyczną, obliczoną na kształcenie ludzi, podobnie jak ja, trochę niedopasowanych, i dzięki temu znajdę czas na pisanie książek, które nie będą tylko pospiesznie kleconymi zbiorami artykułów, wydawanymi w celu rozliczenia się z grantu. Albo zatem zamknie się nade mną weberowska „żelazna klatka” pragmatycznej pseudoracjonalności, albo umknę prętom, częściowo choćby uniknę pokusy kooptacji i zachowam odrobinę krytycznej swobody. Nie ukrywam, że znacznie bliższa jest mi ta druga opcja, ale jeśli humaniści w Polsce nie wykażą się jakimś rodzajem solidarności i gotowością obrony swego specyficznego statusu *artes liberales*, to obawiam się, że – cytując niepokornego klasyka – skończę jako profesor w Bazylei. *Horror! Horror!*

Bielik-Robson Nie chcę być profesorem w Bazylei

Abstract

Agata BIELIK-ROBSON

Institute of Philosophy and Sociology, Polish Academy of Sciences (Warszawa)

I Don't Want to Be a Professor in Basel

A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.

Humanities versus 'science-metrics', or, the 'to be or not to be' within academia, and, which of these options is better for the humanities (considering the cases of Marx, Nietzsche, Freud, Derrida, Benjamin and others).